

JÓZEF LASOŃ.

Na ołtarzu Ojczyzny...

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Zimowego dnia szare popołudnie.

Przez obmarzłe szyby, na których mróz-rzeźbiarz wiosenne kwiaty wyrzeźbił, olbrzymie maków polnych główki, poskręcane ciernistymi kolcami chwastów, czy ostów, lub jakąś mieszaninę polną, sierpem ściętą, na nie rzucił, padały do pokoju promienie słońca, niziutko gdzieś na horyzoncie nieba ukrytego, jakby głowa wyglądającego z okopu wroga oczy jarzące, czyhające wystawiła i śledzi widnokrąg, oświećła go, aby dojrzeć ofiarę nieprzyjaciela.

Zahaczyły się promienie słońca o suche gałązki drzewin, otaczające dwór dokoła, przedarły się pomiędzy gałązkami, padły na stary dwór, w ciszy i zadumie stojący, jak siwy człek nad mogiłą swoją, i łechtały poczęły rzeźby lodowe na szybach dworu, które pod wpływem ciepła rozłaziły się i spływały ku ziemi.

Przy stole, przykrytym niebieskawym obrusem, siedziała kobieta z dobrze siwiejącym już włosom, o regularnych rysach twarzy i dobrych, nieokreślonego koloru oczach. Twarz pomimo gęstych zmarszczek starości i bruzd-smartwień, ujmowała serca anielską dobrocią i łagodnością, a z twarzy przebijało to, co każdą kobietę zdobi, dodaje uroku, podnosi jej wartość — prawdziwa kobiecość. Czarna suknia i bluzka, otaczająca ją, jakby smutkiem i żalobą, nadawała twarzy jeszcze więcej białości marmuru, oczom więcej smutku i żaloby...

Podobną była do tych portretów przodków, na ścianach gęsto porozwieszanych — rzekłbyś, wierne odbicie ich rysów twarzy. Pod portretami kolekcje fotografii w dębowych skromnych ramkach. Pary w ślubnym stroju, grupy rodzinne, pojedyncze osoby, bliźsi i dalsi krewni. Obok, pod portretem chłopięcia o jasnych kręconych włosach, szereg późniejszych jego fotografii, a więc w mundurku studenta gimnazjalnego, potem dorastającego już młodzieńca, wreszcie w ubraniu cywilnym, zapewne po ukończeniu gimnazjum i zdaniu matury. A pod nimi, choinką świeżą, jakby wianuszkiem otoczona fotografia w mundurze siwym Legionisty.

Pod oknem biurko, zarzucone papierami, książkami, jakby w umyślnym nieładzie zostawione, aby przypominało wiecznie ową chwilę, w której twarzą obowiązków słowami, mówiąc matce swej o wielkiej w Polsce chwili czynu, pod wpływem łez matki, nerwowo poczęł porządkować książki i papiery na biurko jego leżące, wyszukując między szpargałami potrzebnych mu rzeczy, map i podręczników wojskowych. Jakby umyślnie zostawiono wszystko tak, jak ręka syna w ostatniej chwili nerwowo rozrzuciła. A kiedy wzrok matki spocznął na tych szpargałach, powoli prochem się pokrywających, stanie w jej myśli, jak żywy jego obraz — ostatnia chwila pożegnania.

W rogu pokoju starej daty fortepian, na pulpicie nuty rozłożone, także przypominają chwilę, gdy już pogodzeni — syn usiadł przy fortepianie i aby matkę pocieszyć i ból jej złagodzić w ostatni wieczór, pieśni polskie grał, na ukojenie bólu serca i wzmocnienie duszy.

Umeblowania pokoju syna dopełniała szafa z złocistymi grzbietami książek, biblioteka znać starannie dobrana, bo obok różnorodnych dzieł naukowych, rzeczy wybitnych autorów polskich i obcych. Łóżko, kanapa, zegar staroświecki z kukułką, lustro i kilka innych drobiazgów, a oprócz tego jedna ściana, zawieszona dość udatnymi pejzażami, dopełniały całości pokoju.

Staruszka, pochylona nad stołem, otworzyła drewnianą szkatułę, drżącą ręką wydobyła paczkę listów i kart, włożyła okulary na oczy, od czasu do czasu podnosząc wzrok do góry, wpatrywała się w fotografię syna, jakby rozmowę z nim zacząć chciała. W wzroku jej przebijała miłość matki, tęsknota, ból, ale i duma, gdy po przeczytaniu kilku zdań lub wierszy wzrok podniosła na wierną podobiznę syna...

„Matuchno! — drżące jej wargi poczęły szeptem czytać. — Po ostatnim boju, dorwawszy chwilę czasu, piszę do Ciebie złocista, dobra moja Matusiu, słów kilka, stęskniony za kochającym Twem serduszkim, za Twoją pieśczęcią... Już przeszło rok czasu, jak biedny Kazio nie widział swej Matusi, jak nie klęczał u Jej kolan, smutki swe, zale, na-

dzieje opowiadając. Ale pociesz się, Mamuńciu, Kazio ma nadzieję, że niedługo przyjedzie i opowiadać Ci wszystko poczniesz...”

— Boże, Boże — westchnęła staruszka — ciągle ta nadzieja, że przyjedzie, a już tak dawno... dawno...

List za listem, karta za kartką przesuwali się w rękach staruszki, cała kolekcja kartek z rowów strzeleckich, z zapadłych kwater, ze szpitala, z wiecznej tułaczki żołnierskiej, kartek zmarzniętą nieraz ręką pisanych, przy blasku palących się chat, lub ogniska, przy którym żołnierze zmarznięte swe ciała ogrzewają...

Odczytywała ze skupieniem słowa tęsknoty i smutku, słowa pokrzepienia i nadziei w przyszłość, słowa trudu i znoju żołnierskiego, to znowu krótkie opisy walk, w których brał udział.

Jak relikwie jakie, wędrowały codziennie listy te z drewnianej szkatułki do rąk matki, póki aż do ostatniego słowa nie zostały przeczytane po porządku, jak przychodziły do niej.

Na niebieskawym obrusie leżały rozłożone, po którym chciwie wzrok matki przebiegał, jakby chciał przypomnieć chwilę radosną, w której list lub kartka przyniosła wieści od syna. Staruszka krzepiała duszę pisanymi jego słowami, a myśl biegła w nieznaną dal, gdzie syn jej walczy, gdzie dolę żołnierską pędzi...

Cicha, niema rozmowa duszy.

Zimowego dnia szarzyzna wieczoru...

Wypełzły gdzieś z głuchego boru zausznicie nocy — mroki, rozbiegły się po ziemi, białym kołniercem śniegu przysypanej, gnane wichrem północy, wtulać się poczęły w wieczne zielone gaje sosnowe, białą szatę ziemi szarzyzną swą brukać, na suche gałązki sadów owocowych wkręcać, na chatach chłopskich usiadać i wciskać się do wnętrza chat i dworów...

Wicher pomroził znów lzy lodu, stopione w promieniach słońca, spływające po szybach chat. Chmury śnieżne, jakby morza północnego lodowce, skłębiły się na niebie, dusząc w swych objęciach uchodzące ostatnie promienie słońca, a wypływającą gwiazdę Jutrznie i starczą twarz księżycy ukryły.

Wkradły się mroki do izby dworskiej, rozbiegły po rogach pokoju, portrety siatki szara pokryły, otoczyły wokół zadumaną staruszkę, pochyloną nad listami i kartkami syna. Wkręcać się poczęły pomiędzy litery krzywo czasami napisane, usiadły na soczewkach okularów, wtuliły się w nadwyrężone starością powieki. Przetrze je drżącą ręką, jakby natrętnego komara pragnęła odpędzić, aby jeszcze choć chwilę w zadumie potrwać, aby jeszcze choć jedno słowo odczytać.

Ciszę wieczoru przerwało nagle nieśmiało pukanie do drzwi. Podniosła głowę staruszka, spojrzała na stojącą w drzwiach pokoju służącą.

— Proszę pani, list...

Zerwała się szybko z krzesła, podeszła do służącej, odbierając z rąk jej dużą, szarą kopertę, urzędowymi opatrzoną stampilami.

— Światła! światła! — wyszeptwała z trwogą, jakby w przecuciu nieszczęścia, które z tym listem przyjść miało.

Zanim służąca przyniosła zapaloną lampę, rozdarła nerwowo kopertę, z której wypadły jakieś niezapieczetowane listy. Światło lampy naftowej zozproszyło mroki zbliżającej się nocy. Ujęła drżącymi rękami duży urzędowy arkusz zadrukowanego papieru i poczęła czytać:

— Syn pani, Kazimierz, bohaterską padł śmiercią, w szeregach Legionu walcząc...

Z głuchym jękiem runęła głową o dębowy stół. Zbiegła się służba, by ratować panią...

Zimowa noc...

Huczy wicher po polach i lasach, tumany śnieżne przed sobą gna, jęk potępieńców, rozpacz-szał z jarów i borów wywodzi, świst jakby tysiąca kul po polach roznosi. Kryje się zwierz w zapadłym borze, w rozpadlinie skał i jarów, ucieka do ciepłych chat człowiek.

Pędzą śnieżne tumany, o chaty w pył się rozbijają, pogrzebać pragną w swych objęciach wszystko, co na drodze im staje...

Cisza, ponura cisza w pokoju staruszki. Błady płomyk lampy oświecił skamieniałą z bólu twarz, zaschłe na powiekach lzy... Na stole znów listy porzucane, w rękach staruszki ostatni syna list, z kieszeni zabitego wyjęty, z pod serca, przedziurawiony kulą, krwią zaschłą oblepiony. Relikwia święta i Matki-Polski i matki staruszki.

Więc siłą się mgłą zachodzącą oczy staruszki, aby z poza krwi wyczytać ostatnie słowa, poszarpane przez kulę złożyć wyrazy i litery. Przeszła już

dusza jej przez gehennę cierpień i rozpacz, kamienny spokój zawitał do serca, który już do grobu wiernym będzie towarzyszem.

Przyjdą teraz dni samotne, spokojne, w których nie będzie już czekać na wiadomość. Tylko stare, ze szkatuły wydobyte pamiątki i relikwie z krwią syna bohatera, będą jedyną treścią jej gasnącego życia...

Wśród ciszy pokoju, gdy na polu wicher bez nadziei jęczy, szepczą usta matki-staruszki:

— Com najdroższego miała, Polsce dałam: krew i życie pacholecia mego... Niech będzie błogosławione Imię Pańskie!...

I spokój na sercu staruszki usiada, a przez cierpienia i ból rodzi się radość i szczęście — oflary dla Polski...

MUZYKA.

Nic tak nie skrzepia mdlejącej już nieraz siły, czy to w marszach, czy w wiecznej tułaczce żołnierskiej, jak głos trąbki, warkot bębna lub huczne tony orkiestry, ukryte gdzieś za wzgórzem, przygrywające szeregom maszerującym na pozycję, lub gotującym się do dalszego marszu, lub pościgu za nieprzyjacielem.

Gdy nogi już mdleją od przemęczenia, ciało pod brzemieniem naładowanego plecaka chwieje się, jak osika wichrem kołysana, z utęsknieniem, ba, z bólem czekają żołnierze na głos komendy, zapowiadającej odpoczynek, a tu nic i nic.

Włoką się pokrzywione od marszów nogi, po kałużach błotnych, po wyboistej drodze, potykają się po kamieniach i grudach. Maszerujący towarzysze klną pod nosem, bo jeden krok zgubił, zmylił, drugi zaś niechcący na nogę kolegi butem włożył i gotowa już kłótnia półszeptem prowadzona, a tu nagle... zagrała trąbka... Sprężyste, rażno prostują się nożyśka, wyciąga jak sznurek ciało, z plecaka, zda się, połowa ciężaru gdzieś przepada, orzeźwia się dusza i ciało, kłótnia i zawiść znikają przy dźwiękach...

Tra... ta... ta, ta, ta... tra... ta, ta, — gra trąbka, a żołnierz nogi i ciało pręży, jak struny, żwawo i ochoczo...

Spoczywają żołnierze ciemną nocą. Zimno i smutno. Myśl popłynęła do rodzinnych stron, serce się drze na strzępy, tęsknota ukość się nie może. Jedni z Marsowych wypuszczeni objęć, rzucili się w ramiona krzepiącego siły Morfeusza i chrapia, jak rozegrane armaty. Innych smutek-chimera okryła czarnym szalem tęsknoty i wspomnień... A tu nagle zagra trąbka, zaplaćce przeciągle, zerwią się towarzysze i zbudzi się życie żołnierskie. Już w szeregu stają, sny złe i dobre opowiadają, a w tym gwarze znika, jak sen, chimera-smutek.

Leży żołnierz w strzeleckim rowie, lub jak kret czyha w okopie, serce mu drży z niecierpliwości i trwogi czasami, bo wie, że szturm zapowiedziano, że już ostrze bagnetu na karabin wsadził, a nie wie, kiedy ta chwila nadejdzie, czy za godzinę, dwie, czy jak słonko będzie wstawało. Wsłuchuje się w tę niemą, złowróżbną ciszę, bo i armaty, jakby w przygotowaniu do szturm na chwilę przycichły, aby zionąć gradem pękających kul podczas szturm. Serce z trwogi dygocze, przeraża ta złowróżbna cisza, a czasem i dusza na ramieniu...

A tu nagle... zagra głos trąbki, wzywający do szturm! Dreszcz przebiega ciałem, ręka silniej karabin chwytła, ulata z duszy trwoga i lęk, i samorzutnie wyrwa się z gardła krzyk, na pół ludzki:

— Hurrra! hurrra, hurrra!...

Pędzi z szeregami, podnieca je, dodaje odwagi i siły! Prowadzi na wroga — łamie go i zwycięża!

A gdy po walce wracają zwycięzcy na odpoczynek, wita ich orkiestra. Ryczą trąby, warkoczą bębny, rozbrzmiewa pieśń tryumfu.

Trąbka i bęben, to wierni towarzysze żołnierza. W chwilach upadku, przemęczenia ducha i ciała pocieszają go, wlewają otuchę i męstwo. W nocnej ciszy, gdy spoczywa po trudach, ostrzegają przed niebezpieczeństwem, budzą, prowadzą do walki.

Muzyka, to jakby matka żołnierza. Pociesza, pokrzepia, czuwa, przed niebezpieczeństwem ostrzega, budzi ze snu, na śniadanie wzywa, zwołuje do zebrania-zbiórki, kołysze do snu, wzywa do wytrwania i głosi zwycięstwo.

— Tra... ta... ta... — zbiórka — tra... ta... ta... naprzód, marsz de ataku...

K O N I E C.